

FLADIER

FLADIER

ALMANACH POETYCKI
OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU DUŻY FORMAT

WARSZAWA 2014



redakcja serii: Rafał T. Czachorowski

Redakcja: Jerzy Benjamin Zimny

Projekt okładki: Daria K. Kompf

Korekta: Kamila Polińska

© Copyright by Maja Baczyńska
© Copyright by Dominika Baraniecka
© Copyright by Wojciech Borkowski
© Copyright by Gabriela L. Cabaj
© Copyright by Magdalena Cybulska
© Copyright by Przemysław Janiszko
© Copyright by Tommy Jantarek
© Copyright by Ewa Kaczówka
© Copyright by Andrzej Kanclerz
© Copyright by Michał Kiliński
© Copyright by Beata Kołodziejczyk
© Copyright by Krzysztof Konrad Kuc
© Copyright by Grzegorz Łączyk
© Copyright by Katarzyna Mikołajczyk
© Copyright by Kacper Pietrenko
© Copyright by Tomasz Smogór
© Copyright by Dariusz Sokołowski
© Copyright by Marcin Sztelak
© Copyright by Dariusz Szymanowski
© Copyright by Kinga Weronika de Walla
© Copyright by Ewa Zelenay

© Copyright by Fundacja Duży Format

Wydawca: **Fundacja Duży Format**

skr. poczt. nr 47
U.P. Warszawa 148
03-295 Warszawa

www.fundacjadf.pl
www.poecipolscy.pl

biuro@fundacjadf.pl
tel. 22-127 59 45

ISBN 978-83-64530-21-0

Wybić się ponad przeciętność

Niniejszy almanach jest pierwszym wydaniem książkowym wierszy nadesłanych na drugą edycję konkursu poetyckiego Fundacji Dużego Formatu - 2014. Wybór wierszy stanowi przekrój autorskich propozycji, zróżnicowanych pod względem warsztatu, poetyki, formy, języka oraz dykcji. W odróżnieniu od większości almanachów, ten nie stawia ograniczeń natury regionalnej, środowiskowej, tematycznej. Jedynym wspólnym mianownikiem zebranych wierszy jest idea będąca podłożem przyjętej przez Fundację misji wspierania literatury i sztuki.

Tegoroczna edycja konkursu nie była wyjątkowa, jeśli chodzi o poziom artystyczny nadesłanych zestawów. Jak zawsze *pokutuje* tzw. zbiorowość, niby głosy własne, a jednak w chórze obowiązujących kanonów i utartych szlaków poetyckich. Jeśli trafił się osobny głos, to był widoczny zaledwie w kilku tekstach obszernego zestawu - jakby na potwierdzenie tego, że trudno jest uciec od pewnych nawyków językowych, trudno utrzymać własny styl, nacechowany czymś na pozór nowym, rokującym na dłuższą metę odrębność. Dlatego wybór do nagród był bardzo trudny, a w końcowym bilansie, po nadesłaniu przez autorów projektów tomików, zaczęły się schody podczas selekcji tekstów do druku. Potencjał liryczny obserwowany w ostatnich latach jakby się wypalił. Nic dziwnego - tak bywało w przeszłości i tak będzie to przebiegać, przeplatane pojedynczymi deklaracjami odmienności, które nie tak łatwo rozstają się z obowiązującymi kanonami.

Mariusz Cezary Kosmala zaimponował jurorom elegancją, spójnością i konsekwencją swoich tekstów, tomik zdecydowanie wyróżnia się spośród pozostałych propozycji. Podobnie Radosław Sobotka, poeta z Wrocławia, zaryzykował, nadsyłając zestaw wierszy opartych na języku trudnym, pełnym neologizmów i zwrotów środowiskowych, typowych dla otoczenia, w którym dorastał. Przebija się w jego wierszach kult człowieka doświadczonego żywiołami cywilizacji.

Tomasz Smogór, poeta z Kłodzka, zbyt długo przebywał w poczekalni rzeszowskiej *Frazy*. Zauważony przez krytykę kilka lat temu, dopiął wreszcie swego, nagrodzony tomik wyróżnia się rozpoznawalną dykcją, nie jest jednak czymś wyjątkowym w porównaniu z innymi tomikami tegorocznych debiutantów, ale wybija się ponad przeciętność debiutów ostatnich lat.

Pozostali poeci nominowani i wyróżnieni drukiem w almanachu prezentują ciekawe zestawy wierszy. Na pierwszy plan wybijają się takie nazwiska jak: Gabriela L. Cabaj, oscylująca wokół rustykalizmu; Michał Kiliński poeta na dorobku, czynnie zaangażowany w muzykę, operujący krótką frazą i preferujący metajęzyk; Przemysław Janiszko, znajdujący się w kręgu poetów rokujących, bardzo bliski Poetyckiego Połowu; Kacper Pietrenko, młody chłopak mieszkający na Środkowym Nadodrze, anglista, eksperymentujący kompozytor i instrumentalista, próbujący swoich sił w tworzeniu cyber-poezji.

Godna uwagi w najbliższej perspektywie jest Dominika Baraniecka z Podlasia, która mimo młodego wieku pisze bardzo ciekawą poezję pokrewną obszarom rustykalizmu. W jej wierszach czuje się atmosferę rodzinnego domu, kreacje są niebanalne, podobnie język - lekki, nie-naganny stylistycznie, sporo w nim odkrywczych metafor. Niewątpliwie ma szansę na wczesny debiut. Z nominowanych do debiutu warto przedstawić sylwetkę Krzysztofa Konrada Kurca z Pruszkowa, poetę, który nadal czeka na swój pierwszy tomik. Nadesłany przez niego zestaw znalazł się wśród nominowanych, mamy nadzieję, że Krzysztof Kurc niedługo doczeka się debiutu z prawdziwego zdarzenia.

Warto wymienić także Grzegorza Łączyka z Brzegu, bardzo dojrzałego poetę przed debiutem, oraz poetkę ze Śląska - Ewę Kaczówkę. Z poetów po debiucie bardzo dobrze zaprezentował się Marcin Sztelak z Wrocławia, nadesłane teksty pretendowały do nagrody głównej. Gdyby była taka możliwość, kolejny tomik tego poety ujrzałby światło dzienne w oficynie Dużego Formatu.

Premierowy almanach poezji Dużego Formatu zapoczątkuje wieloletni projekt promocji i wspierania twórczości literackiej, przyjęty do realizacji w ramach działań fundacji. Działalność statutowa obejmuje także edukację artystyczną dzieci i młodzieży oraz wspieranie sztuk wizualnych i medialnych, jednak to literatura jest priorytetem.

Oficyna wydawnicza fundacji skupi się na poetyckich debiutach, a w drugiej kolejności wydawani będą autorzy z dorobkiem oraz tematyczne serie wydawnicze, ze szczególnym uwzględnieniem dziedzictwa narodowego. Poezja płynie szeroką strugą, piętrzy się, rozlewa jak rzeka na wiosnę. Jedna jaskółka niczego nie zwiastuje, pewne regulacje są konieczne, o czym świadczą wielorakie inicjatywy podejmowane przez środowiska artystyczne, integracje, skupianie wokół instytucji ludzi z talentem, udane próby zaistnienia na skalę ogólnokrajową. Duży Format jest już w tej grupie, nazwijmy to, awangardowej, wyróżniając się otwartością na wszystkich, którzy mają ambicję dokonać czegoś szczególnego w tych niełatwych dla kultury czasach.

Jerzy Beniamin Zimny

list do

a czy Ty jeździsz autobusem, układając w głowie wiersz o Billym?
a wiesz, że być może gdzieś daleko, na drugim kontynencie wielki
Indianin gapi się nocami w gwiazdy, w milczeniu pytając samego
siebie – czego w nich szuka?

a wielka przestrzeń być może pyta go, czy wie, że nadchodzi czas
metalowych bizonów na pilota, a chmury przesłonią mgławice i komety?
czy Indianin zna Billy'ego? kto to wie. kim jest Billy?

ot, lubi pojawiać się w piosenkach. na różnych kontynentach.
gwiazda w cieniu gwiazd. odwiedza wtedy indiańskie wioski
i prowadzi przez prerię oraz step szamana, wilczycę i wilcze stada
do swojego miasta. pozostaje tylko przejść Wodę Bez Brzegu.

Wilki i starcy

wilki płyną wraz z deszczem - opływają szare zmierzchy
Igną do spróchniałych pni i ocierają się miękko o starców,
którzy usnęli przy ognisku, śniąc o wiecznych łowach
pod dachem z kwiatów bez nazw – starcy lubią w nich
rozpoznawać zapachy zwycięstwa i nadawać im imiona
własne, nawet jeśli wilczy deszcz kiedyś zagasi je
wraz z ogniem i zdepta by wśnić się w starców i
ugryźć zamiast powiedzieć po ludzku: „już czas”.

Pieśń stoika

radość to chyba
obierać palcami pomarańczę
patrzeć jak sok rozptywa się
w linii życia rozpiera jej brzegi
i wierzyć że gdyby świat miał się rozpaść
na atomy właśnie teraz dzisiaj
to byłaby to bezbolesna fuzja nihil novi
sub sole w kalendarzach Egipcjan
Majów Wikingów umarliśmy już przecież
po stokroć po cichu a wielkość gwiazdowa Słońca
wciąż dwadzieścia sześć koma siedemdziesiąt cztery
pomarańcze tak samo słodkie jak w Raju
u zarania dziejów

Martwa natura z wyschniętym kwiatem

To smutne i tak bardzo metaforyczne, że w naszym domu nigdy nie zakwitła róża jerychońska - może tak gdyby świat się skończył, a nasz dom zostałby pusty i jednocześnie pełen przedmiotów wytartych dłońmi, ciałami i wzrokiem,

puściłaby zielone pędy. W moich snach, po końcu świata, już po sędzie, opuszczamy ziemię tak, jak staliśmy, a wiatr hula po pustych ulicach, na które wyległy bezpańskie zwierzęta. Potem zdziwieni obserwujemy z góry nieskoszone łąki i niezebrane plony.

Wojciech Borkowski

* * *

Chorał ucichł był nagle
I znów jak fala wyplusnął

Norwid siedział dwa stoliki obok
zamówił zapiekankę z keczupem i herbatę z cytryną
pozdrowiłem go skinieniem głowy
ale nie odpowiedział może mnie nie pamiętał

a więc udało mu się -
uciekł z Domu Świętego Kazimierza
tylko czy teraz będzie mu lepiej
wśród przypadkowych cytatów poronionych podręczników
i kretyńskich wypracowań

w sumie to przecież kawał dobrego proroka
prawie takiego jak Eliasz Klimowicz albo Mathilde Ludendorff

jego błąd –
mógł przecież pojechać nad jezioro
strzelić sobie w łeb
byłoby
głośno ponuro romantycznie

teraz zgolił brodę obciął włosy przywdział turecki sweter -
jest na garnuszku opieki społecznej
bo nie zawsze da radę zarobić na kieliszek chleba

czemu cieniu wychodzisz
ręce włożywszy w kieszeń

Kościół św. Józefa w Olsztynie

Pierwszy Anioł chce wiedzieć
Drugi chce rozumieć
Trzeci rozpisuje twierdzenia Gödla na wstędze Möbiusa
Czwarty pragnie krwi miesięcznej spermy i lubrykatorów
Piąty rzyga wszystkim na wszystko
Szósty nie chce niczego

a oblicza ich straszne
pełne niedopędanego bimbru

tymczasem po przeciwnej stronie ulicy
oglądam ceny na straganie z warzywami
wykonuję znak krzyża przypadkową ręką
zapalam papierosa
oczyszczam nos zapachem świeżych pączków z Tyrolskiej

papieros gaśnie
kompulsywnie przetrząsam kieszenie -
żadnych podartych kopert żadnych zalakowanych drzwi
żadnych znamion zapowiedzianych grzechów
żadnych najtańszych nawet
zapalek

Malowane krzesło

Jakże to latem odchodzić
od rzeczy i ludzi,
bez dwóch zdań. Iść i nie wracać?

Po co tu nie być i już
nie trzepotać się?
Bez sensu, śpiewu, bez przypadania
do siebie – w czyjeś ramiona. Nie,

nie oddalę się latem, nie chcę.
Zachowam lekkość, przejrzystość,
jak należy.

Nie zostawię trzciny.
Nie porzucę wody. Kiedyś

pozwole zdjęć ze mnie koszulę
nocną, tę różową –

zdawałoby się, że wieczną

Krzywe latarnie na moście

Mówisz: pylony, a widzisz filary. Moje są bramy w Egipcie, nie wiadomo – dokąd?

Stary prom na linie z dwoma kołami ratunkowymi i drewnianą łódką. Serce w gardle. Pisk myszek - na żywioł wody – drugi brzeg.

A potem Katedra otwarta tylko dla mnie. Modlitwa. Czy ktoś tu jest? Czy ktoś mnie może stąd wypuścić?

Trzecia to myśl, że właśnie skaczę z mostu. Jedźmy dalej, proszę – chce mi się pić, a ty

zawracasz stanowczym: prosto do domu

Delfy - Kastri

Ktoś zmienił nazwę ich miasta, dlatego nie mieli dokąd wracać. Ktoś potrzebował kamieni z ich świątyń aby wybudować swój dom. Ktoś chodził codziennie ich drogami ale prowadziły one w zupełnie innym kierunku niż dawniej. Ktoś zburzył posągi ich bogów aby móc uwierzyć w nowych nieśmiertelnych. Pytie straciły dar widzenia przyszłości. Dziś lękamy się w nią zajrzeć. Bo może zobaczymy tego, który zasypie nasze studnie.

Termopile

Ten krajobraz tak nie wyglądał, gdy dzielny Leonidas przegrywał bitwę. On widział inne Termopile. Musicie je sobie Państwo wyobrazić. Morze podchodziło prawie pod skały. Musicie sobie Państwo wyobrazić jego ból. Gdy już wiedział, że wszystko stracone. Wchodzimy na wzgórze. Za ledwie parę kroków. Bez wysiłku. Musicie sobie Państwo wyobrazić jego śmierć. Dźwięki cykad wypełniają szczelnie powietrze. Lawenda pięknie pachnie. Więcej nie potrzeba do szczęścia. Pewnie Leonidas dziś by nie poznał miejsca swojej klęski. Musi je sobie zatem wyobrazić.

small time

leпки jak budyń każdy dzień przepuszczam czas przez palce
za oknem upał obok mnie upał tkwią wciąż na wersalce
rozkładam się tu z herbatą z mrożoną a niesłodzoną
czekam na noc wentylator księżyc tli się za zasłoną
jego światło za nos wodzi wszystkie bezsenne lęki noc
wielkim wozi się wozem być może nazbyt wielkim
bo nie mieści mi się w ramy moich okien nocna spacja
nie mogę spać tak pod gwiazdami za to jest klimatyzacja
człowiek jak dziura w moście zbędny popełnia błędy
wiecznie sam wali do bram urojonego nieba urojonego
ego ego tutaj kolejny raz nie liczy się czas

proezja i poza

przyszła proza do woza i dała mu prozac
wóz przestał się wozić a z nadmiaru szczęścia
rozpadł się w kawałki i był wozem w częściach

schizowóz z podwójnym dyszlem
czyli że w domyśle dychotomia trasy
można nosić glany można adidas

przyszła proza i praży plażowiczów treścią
a oni chłoną a oni płoną a oni się pieszczą
powieścią wyrwaną wielkim wargom morza
poezja jest wrażeniem wszystko inne poza

Tommy Jantarek

świat do góry stopami

w grudniu o 6 rano nie warto wychodzić bez pończoch
wiele lat temu stawał na głowie
by zajrzeć pod spódnicę
lub na piedestał stawiał kobietę
bo ginie

sensu stricto
sensualne badając
rozbierał
w biegu
femme fatale upadła
tłumaczy
there is not anything in mind, which hasn't been in the sensations

w grudniu o 6 rano
pończoszniczka stawia nogi do góry stopami
wiele lat temu stawał na głowie
by podziwiać smukłą linię nóg
w czarnych pończochach

skurczy syn

dobiega w ułamku sekundy
falami szarpanymi
szczek! szczek! to mek!

nie wychylam się
podkulam nogi i świat
wpada w ramy mnożących się
drobinek ze szklanki

do najbliższego gruntu
tysiące okruchów świetlnych
trzymam się kurczowo

od siedzenia tylko siedzenie boli

Ewa Kaczówka

Czarownice

z nadejściem nocy
we włosy wplatają pióra
i w podkasanych spódnicach
hulają po bezdrożach

mieszają w kotłach męskich głów
chochlami ramion miękkich i białych
zapachem perfum lubią drażnić zmysły

chcą obudzić zwierzę
by podniosło znużony łeb
i skowytem głodnego psa
poprosiło o pokarm

za dnia zostawiają ślad szminki
na ustniku papierosa
strzepują popiół do butonierki
nowo poznanych mężczyzn

a oni wierzą
że to gwiazdny pył zaproszył im oczy
i że przyniesie spełnienie

Gerda

kończy trzeci fakultet
segreguje dni
przy biurku z widokiem na awans

po pracy basen i siłownia
robi to dla siebie
jak zalecał doradca
rozwoju osobistego

a przy każdej pełni księżyca
dosiada renifera
dobrych ludzi pyta o drogę
do pałacu Królowej Śniegu

ślady sań budzą ptaka uśpionego w piersi
wtedy rozpościera skrzydła
i leci za tropem do utraty tchu

a gdy chwyta za klamkę
ostatniej komnaty
budzik przypomina
że Kaj to tylko sen

skrzydła odlatują bez niej

Andrzej Kanclerz

Kobieta która skleja

sklejanie to czynność mistyczna
jak golenie głowy
lub wchodzenie na górę tuż przed świtem

młoda kobieta o drobnych dłoniach
zupełnie jak z obrazów holenderskich mistrzów
skleja starą książkę pełną skupienia i powagi

niewielkim pędzelkiem nanosi biały klej
na każdą kartkę z osobna jakby to było nasienie
które tchnie nowe życie w stare słowa

gdy klej wyschnie stanie się przeźroczysty
i nie dojrzy go niewprawne oko
nie zauważy czułości co scalała rozrzucone myśli

Ślimacznica

większość znanych mi osób brzydzi się ślimaków bez muszli
a są tylko trochę większe i ciemniejsze jakby przybrudzone
schludny winniczek dźwigający na grzbiecie swój domek
nie wzbudza tak gwałtownych reakcji

ślimak bez muszli przypomina bezdomnego zaślinionego menela
ziemista skóra i ubranie w tym samym odcieniu
nawet zjeść go nie można bo ugotowany wygląda jeszcze gorzej
nie to co winniczek figlarnie wystawiający rogi
i domagający się nowej porcji sera
można go własnoręcznie wydłubać z muszli szpikulcem
lub opowiedzieć bajkę o zwyczajach mieszkańców dalekiej Francji
może wtedy przestraszy się i umknie

ucieczka ślimaka jest czysto symboliczna
a ślad który pozostawia po sobie jest czysto metaforyczny
śluz w końcu wyschnie i nie będzie wiadomo czy ślimak był tutaj
dokąd się udał i czy w ogóle miał muszlę

Wierszał

Przy ulicy Krakowskiej ma miejsce
nasze spotkanie, ktoś śmiał
wydać moją kryjówkę.
Odwracasz się, zaglądasz mi
w nozdrza, prostujesz brwi, podkręcasz
skrzyżowanie tych naszych dróg.

Wzroki przechodniów zawieszamy
na ścianie, przechodzą w przyszłość
(bo pewnie nie dadzą za wygraną).

Gdyby teraz nadszedł wieczór, raczej
usiadłabyś na moim ramieniu,
gdyby wieczór jeszcze
miał coś do powiedzenia.

Przy Krakowskiej swą siedzibę ma psychiatra,
ktoś nadgryzł tabliczkę informacyjną.

Dziewczyna z żydowskiej dzielnicy

To nie może się tak skończyć
powiedziała jeszcze nic się tak nie kończyło
w pierdolony wielki piątek z rybą w ustach
i dzieckiem na nocniku
to jeszcze musi potrwać tydzień
dobę kilka minut
aż się wykrystalizuje

nim dziecko dorośnie zacznie wypytywać
wprowadzi prohibicję przemówi

dorośłym głosem postanówmy cokolwiek
zabijmy się zjedzmy ale to nie może
skończyć się tak i nie w tym mieście
w tym mieszkaniu rozdzieliło nas

coś o wiele szybszego w swoim dążeniach
niż śmierć.

(o)sady intubacyjne. fortel genealogiczny

miejsca są dobre na krótko. to nic, że widzę opuszczone domy i okna wbite w ziemię – ty wolisz głębokie fotele. co noc śnią ci się przerywane stosunki. od początku było jasne, że muszę liczyć na siebie, ale ja wolałam gwiazdy (ktoś dawno zapomniał, że spadające anioły śpią na peronie trzecim).

zwykle dryfujesz z nurtem, a wiosła odnajdują się zbyt późno. to nie wygląda zbyt dobrze na białej ścianie bez ramy, więc chowam cię za życia w przyciasnym pudełku.

(o)sady intubacyjne. niepamięć

w pożółkłych slajdach widać tylko res gestae. gdy będę miała drugie życie, nauczę się pamiętać daty. rozbiorów, z czasem też urodzin. wypłynę u źródeł, bo zawsze bawiło mnie docieranie do faktu. świerszcze zagrają na zimnej mogile, a ja przeproszę za chłód,

za robaczywe jabłka i za Katyń. obiecuję, tato, że już nigdy nie będę sypiać gdzie popadnie. znów zacznę kochanków przyjmować na cito, ale kiedy miód spłynie strunami, każę im wychodzić z siebie (wiadomo, że wolą oknem). postaram się nawet o czystą poszwę. w końcu pierzem

zapchają rozwiązłe usta – nabiorą wody przeterminowane kondomy.

Krzysztof Konrad Kurc

Antydatowanie

przywołani tęsknotą do tworzenia historii
z ośmiu stron świata przychodzą mędracy

wdmuchiwaniami snów w papierowe trąby
wypełniają całkowicie jeden dzień w roku

wymieszanymi z powietrzem urojeniami
próbują skleić kartki nowego kalendarza

w postawiony pionowo znak nieskończoności

Przypis końcowy do apokalipsy

nawet jeżeli ten świat zacznie istnieć ponownie
nie przestanę bać się każdej pojedynczej śmierci

bez różnicy która część mnie mówi - oddychaj
a która patrzy na wierzby kładące cienie do wody

w piątki palę wszystkie nieczytane testamenty
i powstrzymuję się przed otwieraniem anonimów

jednak wciąż pamiętam jak używać pieczęci lakowych

efemerofit story

tylko tutaj jestem. w głowie. wszystko jest w mojej głowie
jakby pół echem, które obija brzegi obcego pochodzenia.
zostań – zostań gdzie jesteś - słyszę, albowiem wyrosłeś
poniekąd znikąd, jak liść zielony niepodobny do słoniowej kości.
masz kilka lat zaległych w korzeniach. nie pamiętasz od czego
się zacząłeś. może czernią się i żółcą ci, co cię zgubili w deszczu,
może nieśli cię jak proch na butach i wdeptali w barwy
przyportowej ziemi?

coraz rzadziej przypominam sobie, że poza głową zaczęła się
wielkość oceanu. słodka jest woda i nie pali już sól na ustach
zaciśniętych podwiązaną żuchwą.

świadomość taka a taka

w drodze rzeka się nie starzeje.
po siódmej katarakcie jest jasne
gdzie sedno stanowi spójność
ze źródłem prawdy takiej a takiej.
smutne, że jej nie ruszam,
choć potrafię boso stąpać
po śniegu. po piasku też. różnica
jest ślepa. chodzi tylko o świadomość:
tak tak, tu byłem i jeszcze będę.
w tym zdaniu mnie nie ma.
ktoś inny mówi, że pogoda
jest taka a taka, słońce pali.
tylko woda wciąż rozpada i staje
się na nowo.

Pocztówka z Cisnej

Pordzewiały połoniny w południowym żarze,
wypłwiały nasze głowy w drodze, co donikąd.
Jeszcze czasem coś zniecka, cicho się przydarzy,
jeszcze zmierzchy utulają świerszczową muzyką.

Wszystko to, co pod stopami i w zasięgu dłoni,
nasze jest i jest niczyje, mizdzy się do słońca.
Czas leniwie się przetacza od skroni do skroni,
jodeł szczyty obłok piesszczą omdlały z gorąca.

Parę kroków dzieli ledwie od szmerów srebrzystych,
odwiecznego drzew poszumu i ptasiej gawiedzi.
Szczyt majaczy w złotych blaskach odległy i bliski,
droga zwęża się i niknie na zielonej żerdzi.

Zmrok opada, perląc słowa w wilgoć traw sparzonych,
nasze dzienne zapatrzenia snuje nad cerkwiska.
Znów nadzieją pachnie jutro. Krzyże popalone
zmartwychwstają nad domami, gdy zasypia Cisna.

Lato

minął lipiec kolejny coraz chłodniej o zmroku
coraz ciemniej o świcie i poranki smutnieją
choć w zwiewnych podrygach lato płąsa po łąkach
tli się żarem południa polnych maków czerwienią

jeszcze nam do jesieni parę kroków zostało
jabłka cierpkie i wrzosy stoją ledwo zielone
tylko wiatr wplątał w pukle srebrne nici pajęczne
pośpiewuje nostalgią za tym co już minione

ręka w rękę powoli zanurzamy się w przyszłość
wódkę z mlekiem mieszamy paląc ogień na wodzie
może jutro liść żółknie może astry zakwitną
a tymczasem trwa lato i ogrzewa nas w drodze

dłonie wszechświata

kobieta o włosach czarnych jak dłonie wszechświata
śni mi się po nocach rzuca we mnie łodygą kwiatka

jestem wtedy jak
matka wiecznie w trzecim miesiącu ciąży
chcę kochać to dziecko nie mogę go zabić
nie mogę go też urodzić

jej oczy tlą się jak dwa ogniska
na drugim brzegu wyschniętej rzeki
wspomnienie jak gałąź wrzucam do paleniska
i z bólem przymykam powieki

niekiedy idąc samotnie wśród tłumu
zobaczę twarz tak podobną do tamtej
lecz wiem że czarny opar rozumu
przesłoni wnet blask wyobraźni

* * *

twarze pracowników
wdychających kurz
spomiędzy regałów fabryki

chmury za szyber dachem
kłębią się jak tumany kurzu

chmury za szyber dachem
kłębią się jak owcze futro

twarze pracowników
nie wiedzą o swoim pięknie

czy można czerpać
z tysięcy kolumn
nic nie znaczących cyfr?

niekończący się korytarz

i chmury
kłębią się jak ludzka masa

gdy zaprzestaniesz
kształtować rzeczywistość
ona przyjmie formę
twojej wyobraźni

pisanie wierszy to sadzenie drzew

każdy napotkany kamień to budda
głoszący ogniste kazanie

odchodzący dzień jest porośnięty czasem
nie mijanych drzew porośnięte mchem

nastoletni

zbiegaliśmy po klatce trzymając zimnej poręczy
jakby coś było za nami i spychało w przepaść

kiedy naprzeciw wysuwały się egzotyczne szczepki
mogące przywozić te z dalekich prerii

nie czytałem jednak wtedy książek Karola Maya
a fala ciepła uderzała o płyty czoła jak o nabrzeżne skały

w oknach przeskakiwały obrazy ze szczeniackich filmów
(mógłbym je pociąć ale miałem marny scyzoryk)

i śmierć była gdzieś obok lepka od piwnicznych stojów:
przechowalnia bagażu przypominająca o życiu

w którym co noc składałem ręce do Najwyższego
lecz on stał głucho lub wietrzył kolejną ogniową próbę

świat przedstawiony

ta kamera nie jest stabilna, dociera jedynie przefiltrowany obraz. na tyłach odbywa się dogging. ostaną scena z Szymona Słupnika przenosi nas na parkiet, na którym zapominam się na chwilę, by stracić równowagę w dusznym ścisku osobników, drżących jakby byli pokryci ciałkami Krausego.

ktoś mówi: sieć i szczątkuje moją wiedzę.
jak sprawnie dzielę los ze Śpiącym w kotlinie!
a życie naprawdę? ramię kamery zjeżdża w inną stronę
– ku amazońskiej puszczy, przeciętej teledyskiem.

i wszystko wnet fragmentaryczne, a zarazem gargantuiczne;
w tle sekwencja strzałów, jak w Columbine High School,
kiedy animowani chłopcy wbiegli na korytarz.
czas, by porzucić mrzonki o pierwotności słowa,
przyznać: na początku była chuć.

Portret hrabiego Roberta de Montesquiou

wyświechtalem w salonach swój pluszowy garnitur
by być zawsze na czasie i dosłownie correct
zdarłem białe lakierki i tysiące krawatów
tysiąc par rękawiczek sygnowanych channel

już wypłowił po brzegach teatralny bilecik
od występów przez rauty – poetycki bonjour
teraz jestem smutniejszy może więcej na miejscu
jakby ciut spokojniejszy w pewnym tonie glamour

ale jest coś co pędzi co się we mnie wciąż wierci
tak do przodu beztrosko motorycznie gdzieś tam
coś co sprawia że kręcę się w tym tańcu do śmierci
trzymam laskę pod ręką i smakuję – red wine

Pieśniaczka

tobie Myron nie zdołał ni Homer ni Skopas
nawet Fidiasz natchniony nie chciał trącić ręką
aleś z nich najstrojniejsza tą swoją udręką
kiedy było stęsknione zawodzisz na popas

kto te barwy i stroje rozwiesił u płota
że się chmarą ze świata jak te muchy garną
jakiż wieśniak pijany włosy ci rozgarnął
i usta porozbrzmiewał i usta rozkochał

Klęski nie i urodzaju

Bogowie wszystkich alkoholi proszą
o jeszcze. Choćby kilka toastów
ku pokrzepieniu, w geście dobrej woli.

Skłaniam się ku ich podszeptom, szeroko,
acz bezgłośnie, rozwierając usta.
Zresztą nawet paszczę.

Później już tylko sen morderca oraz tupoty,
rozliczne. Przekleństwa i odpuszczenia
z głową pokornie schyloną nad miską.

Jest dzień, którego nie słyszę, nie rozumiem,
nie akceptuję. A on, mimo nagromadzenia
partykuł, spada. Nawet przez żaluzje.

Przebudzenia

Emerytowani bohaterowie spotykają się każdej soboty
w tandetnym piekielku. Z tektury i gipsu,
z odrażającą farbą.

Doskonale wiedzą, że jest ono warte dokładnie tyle,
co wszystkie miejsca, gdzie każdy bywa
tylko przejazdem.

Jednak wznoszą toasty, sącząc
słowa przez spalone wargi. Sto procent wódki
przynoszącej zbawienie, przynajmniej z głową
mocno dociśniętą do stołu, pomiędzy zakąski.

Ożywczy bełkot, a w oczy wsącza się blask spoza
zmatowiałych okien.

I tyle wystarczy, reszta jest milczeniem
wydawany w drobnych.

Do zebrania na czworaka, po drodze ku dalszej
części kalendarza.

Jest jeszcze czas

Jest jeszcze czas, aby wszystko na pozór
rozrzucone w pośpiechu
odłożyć na sobie z góry przeznaczone miejsce.

Przyszyć guzik w wytartym mankencie,
skleić szkatułkę rozbitą dawno temu.

Napisać o Niej w czasie teraźniejszym,
póki jeszcze dostępny jest czas teraźniejszy.

Bo czemu właściwie nie mamy być wdzięczni,
że zdążyło się chociaż tyle używać wieczności?

Z miliona powodów wybrać chociaż jeden,
powtarzać wczoraj, jutro, dzisiaj

i każdą książkę z osobna przepisać
w spadku tej a nie innej osobie.

Na dobre cokolwiek, gdziekolwiek zostawić,
we wszystkich językach, już całkiem bez wstydu.

Może to wystarczy.

Może to wszystko
o wszystko za dużo.

Hieronim

Takie na przykład zwierzęta pana Boscha.

Futro, skrzydła i cynowe dzioby.

Nieznające litości szczury czerwienieją w słońcu.

Zesłane na ziemię w kolorach dyfterytu,
wiedzą więcej, ale zabroniono im mówić.

Przychodzą we śnie,

w którym dopiero co wyszedłem na pierwsze spotkanie,
a wracam siwy, nie pamiętając jak było.

Kłęski nie i urodzaju

Bogowie wszystkich alkoholi proszą
o jeszcze. Choćby kilka toastów
ku pokrzepieniu, w geście dobrej woli.

Skłaniam się ku ich podszeptom, szeroko,
acz bezgłośnie, rozwierając usta.
Zresztą nawet paszczę.

Później już tylko sen morderca oraz tupoty,
rozliczne. Przekleństwa i odpuszczenia
z głową pokornie schyloną nad miską.

Jest dzień, którego nie słyszę, nie rozumiem,
nie akceptuję. A on, mimo nagromadzenia
partykuł, spada. Nawet przez żaluzje.

Przebudzenia

Emerytowani bohaterowie spotykają się każdej soboty
w tandetnym piekielku. Z tektury i gipsu,
z odrażającą farbą.

Doskonale wiedzą, że jest ono warte dokładnie tyle,
co wszystkie miejsca, gdzie każdy bywa
tylko przejazdem.

Jednak wznoszą toasty, sącząc
słowa przez spalone wargi. Sto procent wódki
przynoszącej zbawienie, przynajmniej z głową
mocno dociśniętą do stołu, pomiędzy zakąski.

Ożywczy bełkot, a w oczy wsącza się blask spoza
zmatowiałych okien.

I tyle wystarczy, reszta jest milczeniem
wydawany w drobnych.

Do zebrania na czworaka, po drodze ku dalszej
części kalendarza.

bezmiar

jakiś czas temu zaczęłam żyć inaczej,
być może w przypiływie gorącego powietrza
odepchnęłam grunt spod nóg, żeby jak liść
unoszony przez wodę przywłaszczyć nieskończoność.
wiedzieć jak to jest, gdy połowę siebie przenika
absolutna niepamięć kształtów.

druga wciąż kurczowo trzyma się powierzchni
jak niezawodny dotyk powietrza w kręgach na wodzie, wokół stóp.
jeśli je wynurzę, chwilowy chłód obejmie wszystkie palce,
spływając do pięt w ostatecznych błyszczących kropkach.
i znów kolejny krąg - jedna bruzda po drugiej,
między bezbronnymi liśćmi. wrócony oddech,
spieczone policzki, rozedrgany cień.

przymierzam dawne kolory, w ich ramy wpisuję
różne profile stabilności. pozwalam sobie na dalsze
wrastanie w ciepłe tło. o niebo lepiej jest
nie znać imion własnych.

ona jest jego matką

Dziecko nie może umrzeć - oto pierwsza zasada
nieskończoności,
dzieci modlą się za bezdomnych i głodne zwierzęta,
składają ręce dla słońca w imię spokoju na świecie
i ofiary składają bez ofiar.

Dziecko zna zapach deszczu bo deszcz pachnie błękitem
i jak oczy dziecka nosi perłową opończę.
Tam tkwi pierwsze słowo – przyzwolenie,
tknięte słowem pęka choć nie krwawi
moja krew na rozbieżnych profilach.
Ślad dziecka dźwigającego horyzont.

filiżanka

ocalona z powodzi wrzątków i naparów
wyczyszczona starannie z brunatnych osadów
z wytartym złotym rąbkiem czule całowanym
spragnionymi ustami gości i sąsiadów

kruche uszko wygięte trochę staroświecko
garść fiołków malowanych co już znikły prawie
sierota ocalała z wojennej pożogi ...
ostatnia romantyczka babcinej zastawie

dotykam delikatnej skóry porcelany
ile lat ma ta miłość... już chyba nie zliczę
nalewam znów herbaty cierpkiej jak wspomnienia
i słodzę te wspomnienia łyżeczką słodyczy

moje lato wypływa na powierzchnię stawu...

moje lato wypływa na powierzchnię stawu
drobną zieloną rzęsą zmieszaną z chmurami

a zegar lili wodnej z liścia cyferblatem
drży uparcie trącany ważek sekundami

moje lato na stawie jedwabiem pokrytym
wyszywa brzegi miękką sitowia tasiemką

nożyczki tataraku cienkim ostrzem liścia
tną świeży zapach mięty potrącanej ręką

Maja Baczyńska	8
Dominika Baraniecka	10
Wojciech Borkowski	12
Gabriela L. Cabaj.	14
Magdalena Cybulska.	16
Przemysław Janiszko	18
Tommy Jantarek	20
Ewa Kaczówka	22
Andrzej Kanclerz.	24
Michał Kiliński	26
Beata Kołodziejczyk	28
Krzysztof Konrad Kurc.	30
Grzegorz Łączyk	32
Katarzyna Mikołajczyk.	34
Kacper Pietrenko	36
Tomasz Smogór.	38
Dariusz Sokołowski	40
Marcin Sztelak.	42
Dariusz Szymanowski.	44
Marcin Sztelak.	46
Kinga Weronika de Walla.	48
Ewa Zelenay	50



**POECI
POLSCY.pl**

dobre miejsce na literaturę i kulturę.